

Zbudziły go okrzyki bawiących się na zewnątrz dzieci. Pod jego przymkniętymi powiekami tliły się przez moment mgliste obrazy, odległe i niepokojące. Coś mu się śniło, lecz nie pamiętał co. Nie chciał pamiętać.

Walcząc z uczuciem senności, usiadł i rozsunął zasłony. Poranne promienie słońca, które wdarły się do pomieszczenia, na moment zupełnie go oślepiając, stanowiły najlepszy dowód, iż powinien wstać. To też uczynił, po czym ubrał się i ziewając nieskrępowanie, przeszedł do izby, gdzie zaczął przygotowywać śniadanie. Szybko spostrzegł jednak, że w domu nie ma już wody, więc sięgnął po pierwsze lepsze wiadro i ruszył do pobliskiej studni.

Kroczył szybko, choć z lubością chłonał widok budzącego się do życia miasta, w którym spędził całe swoje życie. Maeves było niedużą miejscowością, położoną nieopodal lasu. Zamieszkiwało ją wielu ludzi. I niewielu elfów. On był jednym z nich.

Amitiel'arani. Wysoki i smukły, o białej skórze, bardzo jasnych, prostych włosach, które sięgały mu prawie do pasa, owalnej twarzy o długim, prostym nosie, wąskich, bladych ustach i błękitnych oczach, stanowił niemal typowego przedstawiciela swej rasy. Liczył niespełna dwadzieścia trzy wiosny, co czyniło go najmłodszym spośród dorosłych elfów, zamieszkujących Maeves. Zdawał sobie sprawę, że ludzie w jego wieku byli już samodzielni, mieli rodziny i profesje, ale on, pośród swych pobratymców, czuł się niemal jak pisklę. Ojciec powtarzał mu często, że tak to już bywało z istotami posiadającymi dar długowieczności – wszystko zajmowało im więcej czasu, choćby z tego powodu, że zwyczajnie ten czas miały. Mówił też, że mądrość przychodzi z wiekiem i jest wynikiem życiowych doświadczeń, nie zaś zdobytej wiedzy i że Amitiel nie powinien desperacko jej poszukiwać, lecz cierpliwie czekać. Amitiel słuchał tych porad, starając się do nich stosować, choć czasem całe to czekanie potwornie go nużyło.

Dotarł do studni i nabrał wody, po czym wrócił do domu. Ledwie wszedł do izby, a odnotował ze zdumieniem obecność ojca, który siedział przy stole, trzymając w dłoniach pergamin. Zapewne ten sam, jaki został im dostarczony przez gońca wczorajszego wieczora.

– Już nie śpisz? – rzucił z uśmiechem Amitiel, odstawiając wiadro na podłogę.

Ojciec odpowiedział mu zaledwie niewyraźnym pomrukiem. Widać było, że jest zamyślony. Często bywał. Był specyficzną osobą. Ludzie postrzegali go jako chłodnego i pełnego wyniosłości. Nie zdawali się pojmować, że dla nich, dla ich rasy, tego rodzaju zachowanie jest tym preferowanym. Elfy nie miały w zwyczaju cenić prymitywnej siły – prawdziwej potęgi dopatrywały się w zdystansowaniu, opanowaniu i mądrości. Te właśnie wartości wpajano im od małego i tego oczekiwano, zwłaszcza od tych najbardziej znamienitych. A ojciec Amitiela taki właśnie był – kapłan Solema, który choć znajdował się daleko od miejsca, w którym przyszedł na świat, a jeszcze dalej od tego, w którym pobierał nauki, mimo iż tutaj Stwórca nie miał wielu wyznawców, wciąż emanował dumą godną wybrańca bogów. A Amitiel był dumny z niego.

Dziś jednak coś w zachowaniu ojca go martwiło.

– Wszystko w porządku?

– Oczywiście.

Nie spodziewał się innej odpowiedzi, lecz w przeciwieństwie do pozostałych, potrafił odróżnić faktyczny spokój ojca od tego wyuczonego.

– Wydajesz się strapiony – zauważył ostrożnie.

– Nie jestem.

Nie wyglądało na to, żeby chciał rozmawiać, a Amitiel znał ojca zbyt dobrze, by wierzyć, że jakikolwiek argument mógłby go przekonać do zmiany zdania. Nie zwlekając więc dłużej, kontynuował szykowanie śniadania, ale raptem po paru minutach, usłyszał ciche:

– Usiądź.

To jeszcze bardziej zaniepokoiło młodego elfa. Natychmiast zajął miejsce przy stole, po prawej stronie ojca i spojrzał na niego pytająco.

– Muszę wyjechać – poinformował go szorstko ojciec.

Amitiel zmarszczył brwi.

– Dokąd?

– Do Sol'ihr.

– Na jak długo? – zapytał niepewnie Amitiel. Sol'ihr było olbrzymią twierdzą, znajdującą się w samym centrum kontynentu. Tam szkolili się większość

zamieszkujących ten ląd kapłanów. Ojciec, jak wszyscy w służbie Solema, podlegał ściśle poleceniom tamtejszej rady.

– Nie wiem.

– Przenoszą cię? – Zdziwił się Amitiel.

– Na to wygląda.

– Powinienem już pakować nasze rzeczy? – dopytywał nerwowo młodzieniec.

Spędził w Maeves całe życie, więc perspektywa wyjazdu napawała go lękiem. – Jak wiele dali ci czasu?

Ojciec milczał przez dłuższą chwilę, nim odparł wreszcie:

– Ty nie jedziesz.

– Słucham? – szepnął Amitiel, nie rozumiejąc.

– Nie wiem dokąd mnie wyślą. Nie wiem nawet kiedy to nastąpi. Bardzo możliwe, że póki co, będą potrzebowali mojej obecności w Sol'ih. Nie mogę cię tam ze sobą zabrać. Zresztą nawet gdyby nakazali mi się przenieść do innej miejscowości... Nie mogę ci robić czegoś podobnego – stwierdził z powagą, podnosząc wzrok na twarz syna. – Nie możesz być ode mnie zależny. Jesteś dorosły. Twoje życie powinny kształtować twe własne wybory, nie zaś moje powinności.

Amitiel nie wiedział, co powiedzieć. W pierwszej chwili zamierzał zaprotestować, w czysto emocjonalnej reakcji przekonywać ojca, że nie powinni się rozdzielać. A jednak zbyt dobrze nauczono go pokory i respektu dla decyzji starszych, by mógł sobie na to pozwolić. W końcu kiwnął jedynie głową. Niepewnie. Z dezorientacją. Nie miał pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. Nigdy nie rozstawał się z ojcem na więcej niż parę tygodni, a teraz... Teraz miałby nie widzieć go przez miesiące? Może nawet lata? Miałby zostać tutaj? Sam? Owszem, znał wielu elfów i ludzi, ale z nikim nie był szczególnie blisko.

Dostrzegał w spojrzeniu ojca troskę, mimo iż ten starał się skryć ją pod powłoką zwyczajowego, wypracowanego chłodu. Amitiel nigdy nie dawał się temu oszukać. Nawet jeśli inni, w tym przedstawiciele jego własnej rasy, często postrzegali ojca jako surowego, wręcz beznamiętnego rodzica, w całym swoim życiu Amitiel ani razu nie wątpił w jego miłość.

– Kto przejmie obowiązki kapłana pod twoją nieobecność? – zapytał młodzian, naiwnie licząc, iż koncentracja na faktach pozwoli mu zracjonalizować sobie całą tę sytuację i zepchnąć na bok przesycający jego umysł niepokój.

– Jej imię to Ahar’fayhr – odrzekł ojciec. – To od niej dostałem wieści. Te oficjalne jeszcze nie dotarły, lecz nie mam wątpliwości, że prędko mnie osiągną.

– Znacie się? – zapytał z zaskoczeniem Amitiel.

– Tak.

Młodzieniec czekał na wyjaśnienia, ale najwyraźniej ojciec nie chciał rozwijać tego wątku. Minęła dłuższa chwila, nim zaczął z wolna:

– Jest... samotna. – Amitiel zmarszczył brwi, nie pojmując ani co to dokładnie znaczy, ani z jakiego powodu ojciec o tym wspomina. – Miała męża. Wiele lat temu. Przystąpiła do zakonu po jego śmierci. Wtedy też ją poznałem. Od zawsze usiłowała się ustatkować, jednak jak widać nie było jej to dane.

– Rozumiem... – odparł ostrożnie Amitiel.

– Naprawdę? – Ojciec przyjrzał mu się uważnie.

– Nie – przyznał młodzian, kręcąc głową. – Dlaczego mi o tym mówisz?

– Zależy jej na stabilizacji. Małżeństwie. Potomku – stwierdził ojciec, wciąż spoglądając przenikliwie na syna. – Gdybyś ją sobą zainteresował... Co nie będzie trudne, biorąc pod uwagę, że otacza nas banda nieudaczników, którzy nie powinni nazywać siebie elfami... Ten dom zostałby w twoich rękach. Nie byłbyś sam.

Amitiel zamarł, zaszokowany słowami mężczyzny. Już sam fakt, że ojciec proponował mu coś takiego, budził w nim nieprzyjemne uczucia, ale jego słowa odnośnie domu... No tak. Zupełnie o tym nie pomyślał. Ten dom nie należał do nich. Zamieszkiwał go kapłan i jego rodzina. Jeśli ojciec odejdzie... Nie będzie miał prawa tu zostać. A już na pewno nie w momencie, gdy pojawi się kolejny wysłannik Solema. Chyba że...

– Chcesz żebym się z nią ożenił – stwierdził cicho Amitiel.

– Nie zmuszam cię – odrzekł ojciec, a jego ton złagodniał. – Nie jestem ludzkim barbarzyńcą, by aranżować ci małżeństwo – dodał pogardliwie. Tego rodzaju zabiegi, choć naturalne dla wielu ludzi, dla elfów były nie do pomyślenia. – Po prostu przedstawiam ci twoje opcje.

– W ogóle jej nie znam – zauważył Amitiel.

– A ja znam aż nadto wiele małżeństw, które działają właśnie na takiej zasadzie.

– A miłość? – szepnął młodzian.

– Może ci się przydarzyć – odpowiedział w zamyśleniu ojciec. – Choć miałbyś wtedy olbrzymie szczęście. Obaj wiemy, że nie jest to coś, co przytrafia nam się często, ale gdyby tak się zdarzyło, byłoby to najtrwalsze i najważniejsze uczucie w całym twoim życiu. Nawet jednak jeśli do tego nie dojdzie, małżeństwo może okazać się racjonalną decyzją. Ty zapewnisz jej stabilizację, której pragnie, a ona zapewni ją tobie. Wiem, że to nie jest wymarzony scenariusz dla młodzika z głową pełną marzeń, lecz ufam, że jesteś na tyle dojrzały, by wiedzieć, że rzeczywistość rzadko się do nich nagina.

To był właściwie koniec ich rozmowy. Amitiel nie wiedział, jak odnieść się do słów ojca, by nie zdradzać zbyt wielu emocji, więc wrócił do przygotowywania posiłku. Zjedli wspólnie, a zaraz po tym ojciec musiał zająć się swoimi obowiązkami, więc młody elf opuścił dom. Usiadł w zwyczajowym miejscu, parę metrów od linii lasu. Chciał raz jeszcze, w samotności, przemyśleć sugestię ojca, ale szybko doszedł do wniosku, iż nie będzie mu to dane. Uśmiechnął się mimowolnie, dostrzegając zmierzające w jego stronę dzieci.

Svenka i Ashva'dir. Dziewczynka miała jedenaście lat. Była owocem romansu elfa i ludzkiej kobiety. Dzieci rodzące się z takich związków nie wyróżniały się zbyt na tle ludzi, choć niemal zawsze dziedziczyły po swych elfich rodzicach jasny kolor włosów i oczu. Niektóre, jak Svenka, miały też lekko spiczaste uszy – nie na tyle wydatne, by rzucały się w oczy, a jednak inne od ludzkich. Twierdzono też, że potomkowie ludzi i elfów wolniej się starzeją i dłużej żyją. Amitiel nie miał pojęcia, czy to prawda, niewątpliwą prawdą był natomiast fakt, iż nie dziedziczyły długowieczności. Trudno było się zatem dziwić, że tego rodzaju związku, nawet w miejscach takich jak to, gdzie ludzie i elfy obcowali na porządku dziennym, nie należały do częstych. Amitiel nie potrafił sobie wyobrazić, by mógł obserwować starzenie się, a następnie śmierć ukochanego dziecka, a później żyć przez wieki, mając ten obraz wryty w swej pamięci.

Chłopiec nie skończył jeszcze siedmiu lat. Był elfem, uczącym się stopniowo panować nad swoimi możliwościami. Tych dwoje było jedynymi dziećmi o elfiej krwi w całym miasteczku. Od dłuższego czasu stanowili również główne towarzystwo

Amitiela. Młodzian nie do końca potrafił porozumieć się ze starszymi elfami, może dlatego, że zwykle dzieliła ich przepaść co najmniej kilku dekad.

– Opowiesz nam historię? – zapytał wprost dziewczynka, siadając naprzeciwko Amitiela.

– Tylko lepszą niż ostatnio – dodał chłopiec, usadawiając się obok niej. Amitiel zachichotał.

– Jaką historię chcielibyście usłyszeć? – zapytał z łagodnym uśmiechem.

– Coś o księżniczce – odpowiedziała natychmiast Svenka.

– Nie chcę znowu słuchać o dumnych dziewczynach! – prychnął z oburzeniem malec. Amitiel nie był w stanie ukryć rozbawienia. – Chcę coś lepszego! Opowiedz nam coś o potworach! I demonach! I czarnoksiężnikach, mroczniejszych niż najbardziej mroczna noc! I oczywiście o bohaterach. – Ashva zerwał się na nogi, przyjmując dumną pozę. – Łowcach Czarnoksiężników, którzy chronią nas przed złem! Sam zostanę Łowcą – oznajmił takim tonem, jakby nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

– Kiedyś też pragnąłem nim być – przyznał Amitiel.

Ashva spojrzał na niego bez zrozumienia.

– Więc dlaczego nie jesteś?

– Ojciec nie chciał się zgodzić – odparł zgodnie z prawdą Amitiel.

Nigdy nie trenował swojego ciała w walce, jednak miał duże predyspozycje do magii. Wiedział o tym odkąd tylko pamiętał. Jego ojciec również, lecz z jakiegoś powodu reagował nerwowo na każdą wzmiankę syna o chęci wstąpienia w szeregi wojowników światła. Surowo zabraniał mu też używać mocy. Twierdził, że to najprostsza droga do spaczenia i odkrycia w sobie niezdrowych skłonności. Gdy Amitiel był młodszy, często łamał ten zakaz. Wymykał się do lasu i tam próbował zrobić użytek ze swoich zdolności, ale okłamywanie ojca zawsze budziło w nim okropne wyrzuty sumienia, więc w końcu przestał.

– Dlaczego? – zdumiał się Ashva. – Przecież bycie Łowcą to wielki zaszczyt!

– Owszem – potwierdził z uśmiechem Amitiel. – Ojciec nigdy nie wytłumaczył mi tego jakimś konkretnym argumentem. Choć właściwie go rozumiem. Nie każdy rodzic gotów byłby oddać swoje dziecko na szkolenie. Sam również nie wiem, czy

pragnąłbym znaleźć się daleko od ojca – dodał znacznie ciszej, uświadamiając sobie, że lada moment nie będzie miał wyboru.

– Jak to „oddać”? – zapytał ze zmarszczonymi brwiami Ashva. – Nie pojechałby z tobą?

– Nie mógłby.

– Więc... Więc jeśli ja zechcę zostać Łowcą... Papa nie będzie mógł jechać ze mną?

– Niestety.

– Zatem kiedy go zobaczę? – Niepokoił się chłopiec.

– Pewnie gdy zakończysz szkolenie – odparł wymijająco Amitiel, choć nie było to takie proste. Łowcy Czarnoksiężników nie prowadzili osiadłego trybu życia. Podążali od misji do misji i musieli ściśle przestrzegać narzuconych reguł. Często byli wysyłani na inne lądy. W dawnym domu mogli pojawić się więc tylko wtedy, gdy akurat mieli go po drodze. Czyli zwykle wcale.

– Ale szkolenia trwają wiele lat! – zauważył z przerażeniem Ashva.

Amitiel zdawał sobie sprawę, że swoim realizmem szarga właśnie marzenia małego chłopca i nie chcąc czynić tego ani chwili dłużej, zapytał pospiesznie:

– Co powiecie na kompromis? Księżniczka i potwór?

– Tylko jeśli na koniec ją zje – stwierdził Ashva, a dziewczynka przewróciła oczami.

Amitiel opowiedział im zatem historię, którą sam słyszał wielokrotnie w dzieciństwie. O dzielnym wojowniku, który wyzwiał na pojedynek potężnego czarnoksiężnika. Przez swą zuchwałość przegrał to starcie i został zamieniony w bestię. Zbiegł do lasu, gdzie przez lata ukrywał się przed ludźmi, z każdym rokiem coraz bardziej dziczejac i dostosowując się do swej potwornej powłoki. Wreszcie, gdy zdawało się, iż nie pozostało w nim nic ludzkiego, prócz uczucia żalu, zapragnął zemścić się na człowieku, który skazał go na taki los. Nie mogąc osiągnąć czarnoksiężnika i podejrzewając, że starcie zakończyłoby się dla niego klęską, porwał jego córkę. Choć z początku nie chciał niczego innego, jak tylko jej krzywdy, jego intencje szybko się zmieniły. Dziewczyna nie zlekka się upiornej postaci i swymi słowami wydobyła z bestii wspomnienia o dawnym życiu.

Amitiel znał ponure zakończenie tej historii. Widowiskowe starcie pomiędzy czarnoksiężnikiem a bestią, które kończy się brutalną śmiercią tak drogiej dla nich obu dziewczyny, desperacko starającej się przerwać walkę. Dzieciom opowiedział jednak łagodną wersję – o miłości, która potrafi odczynić nawet najstraszniejszy urok, o wspólnym szczęściu i nawróceniu czarnoksiężnika na ścieżkę światłości.

Svenka wydawała się zadowolona z tego finału, ale Ashva sprawiał wrażenie poirytowanego.

– To głupie – burknął, kręcąc głową. – On wcale nie był potworem! On po prostu wyglądał jak potwór! Prawdziwe potwory są złe. Robią złe rzeczy. Prawdziwy potwór urwałby jej głowę, nim zdążyłaby powiedzieć choć słowo, a następnie zaniósłby ją jej ojcu! – Amitiel odchrząknął cicho. Doprawdy, wizje jakie lęły się w głowie tego chłopca czasami poważnie go niepokoiło. – To właśnie by zrobił, a nie szukał miłości!

– Każdy pragnie miłości – stwierdził ze spokojem Amitiel.

– Ale nie każdy na nią zasługuje – odparł dobitnie chłopiec.

Po tych słowach zapadła długa cisza.

– Mój ojciec chce, bym się ożenił – oznajmił wreszcie Amitiel.

Nie miał pojęcia, czy mówienie o czymś takim dzieciom było dobrym pomysłem, ale skoro już zeszli na podobne tematy... Zresztą komu innemu mógłby się zwierzyć?

– Z kim? – zainteresowała się natychmiast Svenka. – Gdzie? Będę mogła przyjść na uroczystość?

Amitiel zaśmiał się cicho.

– Nie wiem czy w ogóle do niej dojdzie i... Nie wiem z kim – przyznał, a na twarzy dzieci wymalowało się zdumienie. – Nie znam tej kobiety.

– Co? – rzuciła bez zrozumienia Svenka.

– Jest ładna? – dopytał Ashva.

– Nie widziałem jej.

– Więc jak to działa? – burknął chłopiec, marszcząc brwi. – Jak możesz ją kochać, skoro jej nie widziałeś?

– Nie kocha jej – rzuciła Svenka. – Nie rozumiesz? W ogóle się nie spotkali.

– Więc czemu ma się z nią żenić?

– Nie wiem... – odparła dziewczynka, po czym posłała Amitielowi pytające spojrzenie.

– Po prostu... – Niełatwo było to wyjaśnić. – Po prostu małżeństwa nie zawsze opierają się na miłości.

– Nie?! – Svenka wydawała się zdruzgotana.

O miłościwy Stwórco, chyba właśnie szargał marzenia kolejnego dziecka...

– To bardziej skomplikowane – stwierdził łagodnie. – A ja... Nie wiem co robić – przyznał cicho. – Może zastanawiam się zupełnie bez powodu. Może i tak nie chciałaby za mnie wyjść. Tylko... Nie mam pojęcia co się ze mną stanie, gdy mój ojciec... – Umilkł. Jego ojciec nie poinformował oficjalnie społeczności o swoim odejściu, a zatem nie powinien tego czynić za niego. – Zwyczajnie nie wiem jak postąpić – uciał, uśmiechając się niepewnie.

– Zapytaj Malediry – zasugerowała nagle Svenka.

– Hm? – Amitiel spojrzał na nią bez zrozumienia.

– W lesie! Ludzie ciągle to robią! Ludzcy chłopcy. Gdy nie wiedzą czy się ożenić albo którą dziewczynę wybrać... Idą w nocy do lasu i modlą się do Malediry, a ona udziela im odpowiedzi.

– Tak, słyszałem o tym przesądzie – odparł Amitiel z lekkim uśmiechem. – Ale to nie działa. Bogowie nie odpowiadają na nasze modły.

– Moja mama mówi co innego – zaproponowała dziewczynka.

– Bo jest człowiekiem. A ludzie są głupi – burknął Ashva.

– Zresztą Maledira nie odpowiada za kwestie uczuciowe – rzucił pośpiesznie Amitiel, by zapobiec konfliktowi. – Jest boginią magii.

– Miłość to taka jakby magia – upierała się Svenka.

– Bleh! Akurat! – parsknął mały elf. – Magia jest super! Możesz kogoś zabić miłością?! Nie?! Sama widzisz!

– Powiedziałbym, że nie jest to niemożliwe – stwierdził z rozbawieniem Amitiel.

– Nieważne czy to przesąd czy nie – odparła dziewczynka. – Jeśli nie masz innego pomysłu... Może powinieneś spróbować wszystkich opcji.

Może powinien.



Był środek nocy, gdy Amitiel przemknął dyskretnie do izby. Ubrał pelerynę, a następnie, starając się postępować tak cicho, jak tylko było to możliwe, uchylił frontowe drzwi i wyszedł na zewnątrz. Przez moment nasłuchiwał odgłosów z wnętrza domu, ale gdy nic nie wskazywało na to, by swym zachowaniem zbudził ojca, narzucił na głowę kaptur i szybkim krokiem ruszył w stronę lasu.

Nie żeby był zmuszony się wymykać. Ojciec z pewnością by go nie zatrzymał, choć nie ulegało wątpliwości, iż byłby ciekaw dokąd jego syn wybiera się o takiej porze. Zaś Amitielowi naprawdę trudno byłoby w sensowny sposób wytłumaczyć, że całe to zamieszanie jest wynikiem zwykłego przesądu. Nic dziwnego, wszak to wszystko naprawdę nie miało sensu. Nie kierowało nim nic prócz desperacji. Nie wierzył przecież w podobne rzeczy, a jednak nie mógł zasnąć, nieustannie dumając nad słowami dzieci. Może potrzebował poczuć, że faktycznie skorzystał ze wszystkich opcji. Może musiał dobitnie uświadomić sobie, że decyzja pozostawała po jego stronie i że żadna magiczna siła go w tej kwestii nie wyręczy. Może zwyczajnie potrzebował czasu i odosobnienia. Tak czy inaczej, chciał spróbować. Niezależnie od tego, jak absurdalny wydawał mu się ten pomysł.

Miasteczko było ciche i pogrążone we śnie. Nic go nie spowalniało. Dotarł do lasu i zaraz przemieszczał się pomiędzy drzewami. Las go nie przerażał. Nawet teraz, pośród wszechobecnego mroku wydawał mu się miejscem znajomym i bezpiecznym. Jak większość elfów, Amitiel, dzięki swym zmysłom, bez problemu rozróżniał pozornie identyczne drzewa, kamienie czy ścieżki, a to czyniło poruszanie się po podobnych terenach dziecinnie prostym.

Po jakichś dwudziestu minutach dotarł wreszcie do celu. Gdy minął kolejne drzewa, jego oczom ukazał się stojący na około półtorametrowym podwyższeniu posązek. Przedstawiał on kobietę, której ciało oplatały liczne węże. Maledira. Patronka magii i zwierząt. A więc to do niej młodzi, ludzcy mężczyźni z miasta zwracali się ze swoimi sercowymi rozterkami. Amitiel uśmiechnął się z rozbawieniem. Ciekawe jakie uzyskiwali odpowiedzi. Z pewnością nie mogło to być nic oczywistego. Na co zatem liczyli? Na znak? Przeczucie? Głos we własnej głowie? Ludzie, mimo iż wyznawali

tych samych bogów co oni, czynili to zupełnie inaczej. Zachowywali się, jak gdyby Solem wciąż tutaj był, a w dodatku słuchał ich modłów i nagradzał je. Ach, no i oczywiście tak, jak gdyby bogini odpowiedzialna za magię, miała przejmować się uczuciami paru śmiertelników. Naiwne wierzenia przepełnione nadzieją, desperacją i oczekiwaniem na korzyść. Ojciec powtarzał mu często, że ludzie tacy właśnie są – czynią tylko to, w czym widzą dla siebie interes.

Czyż nie upodobniłby się do nich, biorąc żonę tylko przez pragnienie bezpieczeństwa i strach przed samotnością?

Ominął posążek i niespieszonym krokiem ruszył dalej, pogrążając się w zadumie. Cóż innego miałby jednak zrobić? Co z nim będzie po wyjeździe ojca? Nie miał tu nikogo bliskiego. Nie widział dla siebie miejsca w tym mieście, pośród ludzi i ich zajęć. I ta kobieta... Czy faktycznie mogłaby się nim zainteresować? Na pewno dzieliło ich wiele lat. Nie czuł się gotowy do założenia rodziny.

Wyszedł spomiędzy drzew, wkraczając na niewielką polanę i nagle...

Raptownie przystanął.

Tuż przed nim, na ziemi, leżał mały wilk. Martwy. Z rozplatanym gardłem. Amitiel zamarł, zaszokowany, by zaraz odkryć, że dalej znajdowały się kolejne. Cztery, leżące tuż obok siebie w kałuży krwi, okropnie poranione, z wnętrznościami wyzierającymi z ich okaleczonych ciał. Mimo okropnego stanu, nie wyglądały jak gdyby padły ofiarą drapieżnika, który chciał się nimi posilić. Co zatem mogło uczynić coś takiego...?

Nagle zza jego pleców rozległo się donośne warczenie.

Odwrócił się powoli, by z przerażeniem dostrzec olbrzymią, szarą wilczycę. Amitiel pobladł momentalnie, wpatrując się wprost w złote ślepia. Czy to były jej młode?

Jedynie ta myśl zdążyła przemknąć przez umysł elfa, nim wilk wydał z siebie donośny skowyt i rzucił się na niego. Młodzian upadł na ziemię, przygnieciony jego ciężarem. Odruchowo, bez choćby momentu zastanowienia, stworzył niewidzialną tarczę, która w ostatniej chwili uchroniła jego twarz przed kłami drapieżnika. Nie mogące się przez nią przebić zwierzę zdawało się zdezorientowane. Amitiel wykorzystał ten moment, by zebrać w sobie na tyle dużo mocy, aby z impetem odrzucić

wilczycę na bok. Pospiesznie wstał, ale ledwie to uczynił, zakręciło mu się w głowie. Tak dawno nie używał mocy...

Był wyczerpany. Dostrzegł, że wilk zerwał się z powrotem na cztery łapy. Elf odetchnął płytko i odzyskawszy trzeźwość umysłu rzucił się do ucieczki, ale nie zdążył odbiec daleko, nim drapieżnik dopadł do niego i zatopił kły w jego łydce. Amitiel wrzasnął z bólu, upadając na ziemię. Zwierzę wgryzło się głęboko w jego ciało, by zaraz oderwać jego fragment od kości. Młodzian krzyczał nieprzerwanie, usiłując ponownie zebrać w sobie moc, ale nie był w stanie tego uczynić. Wyciągnął przed siebie rękę, sądząc, że to ułatwi mu skoncentrowanie magii, ale zwierzę natychmiast zaatakowało ponownie. Wgryzło się w jego wystawioną dłoń, jednym szarpnięciem odrywając dwa palce. Amitiel zawył z bólu, dociskając krwawiącą kończynę do piersi i usiłując odczołgać się na bok, ale w tym momencie kły drapieżnika zanurzyły się w jego brzuchu.

A później...

Później nastąpiła ciemność.



Ocknął się, wciągając gwałtownie powietrze. Miał wrażenie, jakby to był jego pierwszy oddech od dawna. Rozpierane powietrzem płuca bolały. Właściwie bolało go całe ciało. Wydawało się zeszywniałe. Pozbawione mobilności.

Z trudem uchylił powieki, lecz wszystko, co przed sobą ujrział było rozmazane i niewyraźne. Zdawał sobie sprawę, że leży na czymś twardym, prawdopodobnie łóżku, jednak nie miał pojęcia gdzie. Na pewno nie był u siebie. Ich dom zbudowano z gładkiego, leareńskiego drewna, tak jasnego, że w momencie, gdy oświetlało go słońce, zdawał się zupełnie biały. Sufit, w który wpatrywał się Amitiel, nie będąc w stanie odwrócić głowy, był zaś ciemny.

Prawdopodobnie ktoś znalazł go w lesie i zabrał do siebie. Czy jego ojciec już wiedział? Zapewne. Każdy, kto mieszkał na obrzeżach Maeves rozpoznałby w Amitielu syna kapłana. A może nie? Może nie był już podobny do samego siebie?

Wspomnienie tego, co go spotkało, uderzyło w Amitiela z taką siłą, że aż wstrząsnęły nim dreszcze. Zalał się zimnym potem, zastanawiając, jakim cudem w ogóle przeżył. Czyżby przebywał teraz w pracowni miejskiego uzdrowiciela?

Nawet najdrobniejszy ruch kosztował go wiele wysiłku, ale pełen paniki, dotknął swej lewej dłoni. To, co poczuł, sprawiło, że ogarnęła go zarówno ulga, jak i dezorientacja. Pamiętał... Pamiętał jak ten wilk odgryza mu palce, a tymczasem czuł je wszystkie. Liczył je panicznie, raz po raz, by upewnić się, że nie zwariował i rzeczywiście są na swoim miejscu. Były.

Zatem...? Czyżby szok sprawił, że całe to zajście zdawało mu się znacznie bardziej tragicznym w skutkach, niż faktycznie było? Na pewno, w przeciwnym wypadku już by nie żył. A może była to okrutna wizja zesłana przez Maledirę, która zachciała zabawić się kosztem zagubionego elfa?

Może...

Może to wszystko się nie wydarzyło.

Może był bezpieczny.

Z tą myślą odpłynął w krainę snów.



Powrócił do przytomności. Czuł się fatalnie, jakby miał gorączkę. Był potwornie spragniony.

– Ojciec? – zawołał słabo, głosem tak ochrypłym, że aż obcym. – Ojciec, jesteś tu?

Wiedział, że nie znajduje się w domu, a jednak wierzył, że ojciec nad nim czuwa. Gdy chorował, ten nie odstępował go na krok.

Nie usłyszawszy żadnej odpowiedzi, odwrócił głowę, czemu towarzyszył nieprzyjemny chrzęst. Wzrok nadal go zawodził, ale gdy mrużył oczy, był w stanie rozróżnić poszczególne elementy otoczenia. To było małe pomieszczenie. Na przeciwległej ścianie znajdowało się okno, chyba jedyne. Dostrzegał palenisko i ustawiony na nim kociołek. Drewnianą szafę. Stół i dwa krzesła. Musiał tu mieszkać

ktoś ubogi. Niestety żadna z tych obserwacji nie pozwoliła Amitielowi ustalić ani chociaż przypuszczać, gdzie obecnie przebywał.

Nagle coś przemknęło za oknem. Niewątpliwie jakaś postać, chociaż Amitiel akurat rozglądał się po pomieszczeniu i wyłapał ją ledwie kątem oka.

– Halo? – zawołał znowu, na tyle głośno, na ile był w stanie. – Jest tu kto?

Z bijącym jak oszalałe sercem nasłuchiwał nie tyle odpowiedzi, co jakiegokolwiek dźwięku, sygnalizującego, że nie jest tu sam. Wokół panowała jednak głucha cisza.

– Potrzebuję wody – jęknął płaczliwie Amitiel. – Proszę...

Stopniowo odzyskiwał ostrość widzenia. Jego uwaga skupiła się na wiszącej tuż pod sufitem, rozciągającej się na całą długość pomieszczenia nici. Spostrzegł to już wcześniej, tyle że nie widząc wyraźnie, uznał ją za ozdobę. Chyba faktycznie nią była, lecz dopiero teraz zauważył, iż wisiały na niej zęby.

Skrzywił się z obrzydzeniem. Kto dekorowałby dom czymś tak upiornym? Wiedział, że ludzie tworzyli amulety z kłów wilków i niedźwiedzi pazurów i już samo to zdawało mu się dalece nietaktowne, więc co dopiero coś takiego? Tym bardziej, że zębów było tu bez liku. Czyżby trafił do chaty myśliwego?

Im dłużej jednak przyglądał się nietypowej dekoracji, tym większy ogarniał go strach.

To nie były zęby zwierząt...

Odetchnął płytko, zsuwając się na brzeg łóżka. Chwycił za rąbek cienkiego koca, którym był nakryty, chcąc go z siebie zrzucić, ale wtedy zauważył coś jeszcze. Jego lewa dłoń... Środkowy i serdeczny palec odróżniały się od reszty. Były sine. Smuklejsze. Zakończone długimi paznokciami. Chyba... kobiece. Widział wyraźne ślady szycia.

Zrobiło mu się słabo. Kto byłby w stanie uczynić coś takiego? Nie sądził, by którykolwiek z miejskich uzdrowicieli posiadał takie zdolności. Nie... To nie było normalne. Takie eksperymenty były surowo zakazane. Amitiel słyszał, że dopuszczali się ich czarnoksiężnicy.

Ogarnęła go panika.

Gdzie on był?

W tym momencie drzwi otworzyły się na oścież i coś weszło do pomieszczenia. Może gdyby wzrok Amitiela skupił się wyłącznie na głowie tej istoty, przez krótką chwilę zdołałby się łudzić, że ma do czynienia z czymś *naturalnym*. Twarz o skąpanych w czerni oczach, z wyróżniającymi się na jej tle, szkarłatnymi tęczęwkami, prostym nosie i niepokojąco szerokich ustach oraz skłębione, sięgające ramion, czarne włosy, spośród których wystawała para spiczastych, niewątpliwie elfich uszu. Jednak reszta ciała tego Stwora...

Nieproporcjonalnie długie nogi, ugięte pod dziwnym kątem, żeby kreatura zdołała przekroczyć próg, zwężały się ku dołowi i kończyły szpicami, na których pokaźne stworzenie balansowało dziwnie, przemieszczając się do przodu. Jego dłonie miały pięć palców, ale i one nie wyglądały normalnie – stożkowate, pozbawione paznokci, lecz wciąż ostro zakończone. Zarówno nogi, jak i ręce istoty były czarne jak smoła, zaś jego tors i twarz miały odcień szarości.

Kreatura zatrzymała się przed Amitielem i jakby cały ten wizerunek nie był dość upiorny, uśmiechnęła się makabrycznie, ukazując dwa rzędy spiczastych zębów.

Amitiela ogarnęło tak wielkie przerażenie, że zaczął krzyczeć.

– Boli? – zainteresował się Stwór, nachylając nad nim nisko.

– Nie zbliżaj się do mnie! – wrzasnął Amitiel, podsuwając pod samą ścianę. – Precz, demonie!

Teraz był już pewien, że padł ofiarą jakiegoś plugastwa, które zamierzało na nim żerować.

– Rashka nie jest demonem – odpowiedział Stwór, po czym wyciągnął ku niemu niewielkie, blaszane naczynie. – Woda, Elfiku. Tak, jak chciałeś.

W przypływie paniki, Amitiel odepchnął gwałtownie rękę istoty. Naczynie upadło z trzaskiem na posadzkę, rozlewając zawartość.

– Nic od ciebie nie chcę! – syknął Amitiel, desperacko usiłując przypomnieć sobie jakieś ochronne czary. – Nie oddam ci swojej duszy, niezależnie od twoich sztuczek, więc lepiej od razu mnie zabij!

– Rashka nie chce twojej duszy. To kłopotliwe... Bardzo kłopotliwe – mamrotał Stwór, patrząc na rozlaną wodę.

Po chwili jego spojrzenie skoncentrowało się na Amitielu.

– Powinieneś spać, Elfiku – osądził. – Nie działasz jeszcze jak należy.

Amitiel nie zamierzał odpowiadać, sądząc, że wszystko co go otacza jest jakimś złudzeniem wywołanym przez siły nieczyste, ale wkrótce odkrył, że Stwór wcale nie czekał na jego odpowiedź. Dłoń kreatury zacisnęła się na jego twarzy, zatykając usta i nos. Amitiel zaczął się szamotać, ale stworzenie było zbyt silne, by mógł sobie z nim poradzić.

Stracił przytomność.



Gdy ponownie się ocknął, to monstrum stało na środku pomieszczenia. Ledwie je spostrzegł, a natychmiast zamknął oczy, zamierzając udawać, że wciąż śpi. Złakł się, przypuszczając, iż potwór zdaje sobie sprawę z jego przytomności – usłyszał, jak ten zbliża się do łóżka. Poczul zapach kreatury, gdy ta nachyliła się nad nim nisko – zapach, o dziwo, znajomy i stosunkowo przyjemny, choć trudny do zidentyfikowania. Słyszał jej przedziwny, urywany, pozbawiony rytmu oddech, czując, jak całe jego ciało się napina. Już miał skapitulować i uchylić powieki, chociażby po to, by wiedzieć, co się dzieje, ale w tym momencie istota się odsunęła. Przez moment krążyła jeszcze po wnętrzu domu, nim wyszła, co zasygnalizowało Amitielowi skrzypnięcie drzwi.

Otworzył oczy, a gdy zyskał pewność, że Stwór faktycznie wyszedł, podniósł się do siadu. Odczekał chwilę, licząc, że bestia zdąży się w tym czasie oddalić, dając mu szansę na ucieczkę. Był zbyt przerażony, by wytrzymać długo. Zaczął wstawać. Jego ciało drżało, nie tylko z przerażenia, ale i bólu, a jednak miał złudzenie kontroli – złudzenie, które minęło bezpowrotnie, gdy po dwóch krokach nogi odmówiły mu posłuszeństwa i upadł z hukiem na podłogę.

Wtedy usłyszał, jak to coś wraca.

– Nie – szepnął z paniką, czując napływające do oczu łzy. – Nie, nie, nie... – Starał się podnieść, ale jego dolne kończyny pozostawały całkowicie bezwładne.

Monstrum wkroczyło do pomieszczenia, a Amitiel przekonał się, iż to, jak postrzegał je ostatnim razem nie było wynikiem gorączki. Nigdy w życiu nie widział czegoś tak groteskowego. Tak... nienaturalnego.

– Nie! – zawołał z przerażeniem, gdy Stwór ruszył w jego stronę. – Nie zbliżaj się do mnie!

Potwór przystanął. Przechylił głowę, przypatrując się młodemu elfowi z uwagą.

– Rashka podniesie – stwierdził w końcu, robiąc krok do przodu.

– Zrobię to sam! – odkrzyknął pospiesznie Amitiel, podsuwając się pod łóżko, a następnie wciągając na nie i sycząc przy tym z bólu.

Monstrum wpatrywało się w niego tak, jak gdyby to on był jakimś makabrycznym dziwactwem. Amitiel docisnął plecy do ściany i zagryzł wargę. Jak każdego elfa, od dziecka uczono go, by w żadnych okolicznościach nie paktować z mrocznymi siłami. Dobrze wiedział, iż są rzeczy dalece gorsze od śmierci. Obiecał sobie, że będzie silny. Że jeśli miał zginąć, to z godnością, nie okazując słabości i o nic nie prosząc.

Nie był w stanie. Pękł.

– Proszę... Proszę, pozwól mi wrócić do domu. – Załkał, patrząc na istotę, która wciąż przyglądała mu się z zaciekawieniem. – Mój ojciec... On bardzo się o mnie troszczy. Jestem jego jedynym synem... Na pewno już mnie szuka i... I czeka na mnie kobieta, którą kocham... Błagam.

Częściowo kłamał, ale co z tego? Gotów był powiedzieć wszystko, byle ten potwór go wypuścił, choć ojciec powtarzał mu często, że demony i tym podobne twory nie znają litości.

– Nie możesz wrócić, Elfiku – poinformowała go kreatura.

– Jeśli mi pomożesz, oszczędzą cię – przekonywał Amitiel, mając w sobie jeszcze odrobinę nadziei. – Może nawet nagrodzą. Mój ojciec jest łaskawy. Jeśli mu mnie zwrócisz, nie wyrządzi ci krzywdy.

Kolejne kłamstwa. Takie wynaturzenie nie miało prawa istnieć. Gdyby w mieście wiadano o obecności podobnej kreatury, niewątpliwie zjawiliby się tu Łowcy. Choć istniało spore prawdopodobieństwo, że zostaliby wyprzedzeni przez wściekłych i przerażonych ludzi.

– To nie jest możliwe – rzekł jednak Stwór.

– I tak mnie tu znajdą, prędzej czy później – oznajmił rozedrganym głosem Amitiel, dostrzegając, że błagania na nic się nie zdadzą. – A wtedy pojawią się Łowcy Czarnoksiężników i rozbiją cię na tysiąc mniejszych części.

– Rozbiją...? – powtórzył bez zrozumienia Rashka.

– Tak właśnie kończą demony – odparł mściwie Amitiel.

– Rashka nie jest demonem.

– Może. Ale jesteś wynaturzeniem i skończysz jak każde z nich! – wykrzyczał w przyływie desperacji, nim ponownie ogarnął go lęk.

Obawiał się nie samej śmierci, lecz wymyślnych tortur, jednak mimo obelgi, stworzenie stało w tym samym miejscu, nie sprawiając wrażenia poruszonego.

– Nie ma sensu grozić Rashce – oznajmiło w końcu. – Rashka jest tu bezpieczny. Podobnie jak Elfik. Powinieneś się cieszyć.

Amitiel zaśmiał się gorzko przez łyżę. Zamierzał powiedzieć, co sądzi o takim *bezpieczeństwie*, ale w tym momencie jego spojrzenie padło na pobliski stolik. Na dzban wody i miskę wypełnioną jakąś mięsną potrawką. Poczuł, jak jego wnętrzności kurczą się gwałtownie, domagając posiłku, ale w pierwszej kolejności rzucił się na napitek. Gardło miał tak wyschnięte, że nawet przepływająca przezeń woda sprawiała mu dyskomfort, choć jednocześnie przynosiła ulgę. Gdy wypił wszystko, zabrał się za jedzenie. Mięso było żyłaste i niedogotowane, ciężkie do przełknięcia, ale był tak głodny, że nie tylko nie zwracał na to uwagi, ale niemal wcale go nie przeżuwał.

– Dobrze, Elfiku? Dobrze, prawda? – dopytał Stwór, klasnąwszy w dłonie. Sprawiał wrażenie uradowanego. – Widzisz? Rashka o ciebie zadba. Nie stanie ci się krzywda.

Amitiel odłożył pustą miskę na stół i przetarł usta dłonią. Zmarszczył brwi, przyglądając się istocie. Co to do cholery było? Chyba rzeczywiście nie demon, choć ojciec powtarzał mu, że demony są przebiegłe i nie można im wierzyć. Czy coś takiego mogło żyć w ich lesie? Amitiel raz jeszcze spojrzał na zawieszony przy suficie zęby. Przeszyły go dreszcze. Nie słyszał nic o podejrzanych zniknięciach ludzi czy własnych pobratymców.

– Czym jesteś? – zdecydował się zapytać wprost.

Monstrum położyło dłoń na klatce piersiowej i ukłoniwszy się lekko, odparło:

– Rashka.

– Znam twoje imię – rzucił niecierpliwie elf. – Pytam CZYM jesteś. – Napotkawszy na wzrok Stwora, w którym kryło się niezrozumienie, wyjaśnił – Ja... Ja nazywam się Amitiel. Jestem elfem. Ty nim nie jesteś. Nie jesteś też człowiekiem, wampirem, ani żadną z ras, która jest mi znana. Twierdzisz też, że nie jesteś demonem. Więc czym?

Stwór zastanawiał się przez moment, by stwierdzić ostatecznie:

– Rashka... jest Rashką.

– Czyli potworem – podsumował cicho Amitiel.

– Elfik jest niemiły – oznajmił z wyrzutem Stwór. – Rashka myśl sobie, że będzie lepszy, jeśli zazna trochę snu. Rashka pomoże.

– Nie, błagam! – krzyknął z przerażeniem Amitiel, gdy monstrum ruszyło w jego stronę. – Zasnę bez twojej pomocy – zapewnił, po czym położył się, a następnie przewrócił na bok, plecami do kreatury.

Cały drżał.



Minęły dwa dni. Gdy to monstrum znajdowało się w środku, Amitiel udawał pogrążonego we śnie, choć tak naprawdę spał niewiele. Narastający lęk trzymał go przy świadomości. Starał się ustalić jakiś wzór zachowania tej kreatury. Chyba żadnego nie było. Wychodziła i wracała, czasem po chwili, czasem po wielu godzinach, chociaż przesycony lękiem umysł zawodził we właściwym postrzeganiu czasu.

Wyczekiwał właściwego momentu. Stwór szykował mu posiłki i choć były paskudne, silił się i poił, nie tylko ze względu na fizjologiczne potrzeby, ale i to, że musiał nabrać energii, by poruszać się o własnych siłach.

Był przerażony, a jednocześnie wierzył, że mu się uda. Przecież na pewno przebywali gdzieś blisko miasta. Amitiel nie odszedł daleko, a nie wyobrażał sobie, by taka paskuda przemieszczała się swobodnie na duże odległości. Musiał więc niefortunnie znaleźć się w pobliżu jej domu. Choć... To wyjaśnienie nie było całkiem przekonujące. Jeśli bowiem nie znajdowali się daleko, dlaczego nikt po niego nie

przyszedł? Ojciec na pewno go szukał. Inni pewnie również, wszak kapłan cieszył się poważaniem wśród lokalnej społeczności. Jakim cudem nikt tu jeszcze nie dotarł?

Nieistotne. Jeśli znajdował się blisko miasta, prędko dotrze do domu. Jeśli nie... Cóż, byle dalej od tej bestii.

Gdy nadszedł zmrok, wyczuł okazję. Stwora nie było od co najmniej kilkunastu minut. Amitiel wytoczył się z łóżka. Jego lewa noga była w pełni sprawna, za to na prawą ledwie stawał, a ilekroć to robił, czuł ból rozciągający się aż do pachwiny udowej. Zacisnął zęby i starając się nie wydać z siebie choćby najmniejszego jęku, pokuśtykał do drzwi. Stał przy nich przez moment, nasłuchując. Gdy nie dobiegły go żadne podejrzane dźwięki, wyjrzał na zewnątrz. W pobliżu nie było żywego ducha. Ruszył przed siebie.

Kroczył tak szybko, jak tylko mógł, ale już po paru metrach miał wrażenie, że opada z sił. Znalazł leżącą w trawie, wysoką, grubą gałąź i podparł się na niej. W ten sposób było mu trochę łatwiej, zwłaszcza, że prawa noga znowu stała się bezwładna i w pewnym momencie praktycznie ją za sobą ciągnął.

Nagle coś do niego dotarło. Wokół panowała cisza. I nie chodziło o to, że nie słyszał Rashki. Nie słyszał nic. Nie tylko odgłosów zwierząt, ale nawet szelestu traw i liści. Las bywał cichy, ale nie *tak* cichy.

Podążał dalej, z zadartą głową, przyglądając się koronom drzew. Usiłował wyłapać choćby najmniejszy ruch. Bez skutku.

Nagle zawadził o coś nogą. Z bolesnym jękiem runął na ziemię, by zaraz zakryć usta dłonią, starając się powstrzymać od kolejnej reakcji. Odwrócił się odruchowo, chcąc sprawdzić, co spowodowało jego upadek, a to, co ujrzał, sprawiło, że wydał z siebie stłumiony okrzyk. To były zwłoki jakiegoś mężczyzny, niewątpliwie człowieka. Amitiel odetchnął płytko, przesuając się dalej, ale wtedy zauważył coś jeszcze.

Jego noga... Prawa noga... Nie była takiej samej długości jak lewa. Przerażony tą refleksją podsunął nogawkę. Sina, bezwładna kończyna, niosąca ślady szycia, z całą pewnością nie należała do niego.

Nie mógł powstrzymać pełnego przerażenia okrzyku.

Moment później pojawiło się przy nim to monstrum.

– Elfiku? Nie ma co płakać – stwierdziło, widząc rozbitego Amitiela. – Rashka powtarzał, że nie działasz jeszcze jak należy.

– Co ty mi zrobiłeś?! – wrzeszczał niepokohamowanie Amitiel – Co mi zrobiłeś?!



Gdy się ocknął, znowu leżał w łóżku. Pamiętał, jak to monstrum ciągnęło go w stronę domu, krzyczącego i zapłakanego. W pewnym momencie musiał stracić przytomność, zapewne pod wpływem szoku. A teraz, pierwszym co spostrzegł, ledwie uchylił powieki, była ta makabryczna twarz.

– Rashka przeprasza – stwierdził Stwór, sprawiając wrażenie skruszonego. – Rashka nie zrobił tego jak należy, ale już się poprawił. Tym razem wybrał lepszą.

– Lepszą? – powtórzył na wpół przytomnie Amitiel. – Lepszą co?

– Nogę.

Amitiela zalał zimny pot. Zsunął z siebie koc, by dostrzec, że na miejscu prawej nogi spoczywała kolejna, obca kończyna, tym razem świeżo przyszyta.

– Dlaczego? – zapytał słabo. – Dlaczego mi to zrobiłeś?

– Rashka pomógł – odparł potwór. – Noga Elfika do niczego się nie nadawała, trzeba było znaleźć nową. Podobnie jak palce. I wątrobę.

– Wątrobę?

– Nie wiesz, Elfiku? Rashka wie, chociaż sam jej nie ma. Jest w środku.

Łzy napłynęły Amitielowi do oczu. Drżącymi dłońmi zaczął ściągać z siebie koszulę, by odkryć rozciągającą się wzdłuż jego torsu, zszytą ranę w kształcie litery "T".

– Otworzyłeś mnie? – szepnął z niedowierzaniem.

– I zamknąłem. Powinieneś się cieszyć, Elfiku – odpowiedział Stwór. – Rashka miał zamiar tylko pozaszywać rany, ale chciał zobaczyć, jak wyglądasz w środku. Twoja wątroba była chora. Przeżarta przez robactwo. Rashka nigdy wcześniej nie widział tak czarnego wnętrza.

– Dlaczego? – rzucił raz jeszcze Amitiel, pełen żalu.

Monstrum wydawało się zaskoczone tym pytaniem.

– Rashka sprawdzał – odpowiedziało, jakby była to najbardziej naturalna rzecz pod słońcem. – Chciał, żeby Elfik działał.

– Ty jesteś potworem! – wrzasnął Amitiel, nie będąc w stanie powstrzymać płaczu. – POTWOREM! Jak mogłeś mi zrobić coś takiego?!

– Rashka naprawił. – Stwór wydawał się zdezorientowany. – Dlaczego Elfik nie jest wdzięczny? Bez Rashki by umarł.

– Wolałbym umrzeć! – syknął Amitiel.

Istota cofnęła się nieco i przyglądała przez moment ofierze swoich eksperymentów.

– Rashka nic z tego nie rozumie – przyznała w końcu. – Sądził, że Elfik chce żyć. Nie chcesz?

Amitiel nie odpowiedział. Przymknął powieki. To był koszmar. Jeden wielki koszmar, z którego pragnął się wreszcie wybudzić.

– Gdyby Elfika znalazł Mistrz, Elfik nie miałby tyle szczęścia – oznajmił Stwór. – Mistrz na pewno by zabił. Mistrz nienawidzi elfów. Rashka się z nim nie zgadza. Uważa, że są najpiękniejsze.

– Mistrz? – Amitiel zmusił się do otwarcia oczu. – Jaki znowu Mistrz?

– Mistrz dał Rashce życie – wyjaśnił potwór, a Amitiel pojął wreszcie, z czym ma do czynienia.

– Ty jesteś stworzeniem czarnoksiężnika – szepnął.

Słyszał o dziełach ludzkich magów, którzy posługując się zakazanymi czarami, członkowali ciała, a następnie tworzyli z nich wołające o pomstę do nieba istoty, zwykle by im służyły, a czasem jedynie po to, by siać zamęt. Nie wyobrażał sobie jednak, że mogli wykreować coś tak dalece potwornego.

– Gdzie jest teraz twój Mistrz? – zapytał z niepokojem, nie czekając na potwierdzenie. Pojął, że w tej sytuacji Stwór jest jego najmniejszym zmartwieniem.

– Mistrz odszedł, ale wróci – odpowiedziało monstrum, uśmiechając się szeroko. – Rashka cierpliwie czeka. Do tej pory był sam, ale teraz ma Elfika. Elfik nie odejdzie, nawet gdyby chciał. Tylko Mistrz może przychodzić i wychodzić.

– Więc jak udało ci się mnie znaleźć? – rzucił Amitiel, usiłując ustalić, co ma na myśli jego rozmówca.

– Tak, jak wszystkich.

– Jak wszystkich?

– Rashka pokaże.

Rashka wyciągnął ku niemu swą czarną dłoń. Amitiel pokręcił głową, dając do zrozumienia, że wstanie sam, ale nie był w stanie tego uczynić.

– Jeszcze nie działa jak trzeba – wyjaśnił Rashka, wskazując na doszytą kończynę. – Elfik nie pójdzie o własnych siłach. Rashka pomoże.

Nie bacząc na protest Amitiela, monstrum wciągnęło go sobie na plecy i ruszyło do wyjścia. Amitiel miał wrażenie, że w takim układzie nie przejdą przez drzwi, ale cienkie nogi ugięły się nienaturalnie mocno, dzięki czemu bez problemu wyszli na zewnątrz. Serce Amitiela waliło jak oszalałe. Ścisnął niepewnie ramiona istoty, czując, jak cały drży.

Pokonali może kilkanaście metrów, nim Rashka wskazał na jakiś punkt przed sobą i oznajmił:

– Elfik leżał tutaj.

– Tutaj? – szepnął z niedowierzaniem Amitiel, marszcząc brwi. – Jak daleko jest miasto?

– Miasto? Rashka nic nie wie o mieście.

– A posąg Malediry?

– Nie ma tu posągów.

– Niemożliwe. Idź dalej – polecił nerwowo Amitiel, coraz mniej rozumiejąc, co się wokół niego działo.

Więc szli pośród tej przerażającej, nienaturalnej ciszy, aż wreszcie, po kilkudziesięciu minutach, dotarli do dziwacznej, fioletowej bariery.

– Co to takiego? – mruknął Amitiel, marszcząc brwi. – Pozwól mi dotknąć.

Rashka zbliżył się bez oporów do tej specyficznej ściany. Amitiel ledwie musnął ją palcami, a przeszedł go zimny dreszcz, który wstrząsnął nim do głęboki.

– Ta magia... - wydusił, przerażony. Była plugawa. Nienaturalna. I niezwykle potężna. Czuł ją w swoich kościach.

Teraz rozumiał. Czarnoksiężnik się tu zamknął. Stworzył sobie azyl, niewidoczny dla oczu innych. Mogli znajdować się wszędzie, ale nikt, poza wyjątkowo

wyczulonymi Łowcami, nie byłby w stanie odnaleźć tego miejsca. Jeśli zgodnie z przypuszczeniami Amitiela, przebywali niedaleko miasta, musiał mijać tę zamkniętą przestrzeń setki razy, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Wiedział już, gdzie się znajduje. Nie wiedział jednak jak się tu znalazł. Rashka twierdził, że go *znalazł*, ale to niczego nie tłumaczyło.

– Jesteś pewien, że nie możesz wychodzić? – zwrócił się do Stwora.

– Rashka jest pewien, Elfiku.

– Zabierz mnie z powrotem.

Ruszyli w stronę domu. Amitiel pograżył się w myślach, starając się zastanowić nad możliwymi drogami ucieczki, ale wtedy...

– Rashka... - szepnął, coś sobie przypominając. – Gdy się przewróciłem... było tu jakieś ciało.

– Rashka już się nim zajął.

– Skąd się wzięło?

– Tam, skąd biorą się wszystkie.

– Czyli?

– Rashka nie wie – odparł Stwór. – Gdy się pojawiają, Rashka je sprząta. Chciał sprzątnąć Elfika, ale Elfik był żywy. Rashka się ucieszył. Odkąd odszedł Mistrz, nie miał towarzystwa.

I jakby cała ta sytuacja nie była wystarczająco przerażająca, nagle uderzyła go kolejna świadomość.

– Rashka... - szepnął blady. – Tu nie ma zwierząt, prawda?

– Nie.

– Więc... czym mnie do tej pory karmiłeś?

– Mięsem, Elfiku.

– Jakim mięsem? – rzucił słabo Amitiel.

– Rashka pokaże.

Dotarli pod dom, lecz nie weszli do środka. Zamiast tego okrążyli niewielką chatę i zatrzymali przy kamiennym włączniku. Rashka otworzył go, ukazując długie, prowadzące pod ziemię schody. Już w ich połowie leżały zwłoki, zupełnie jak gdyby nie mieściły się na samym dole.

– Odstaw mnie! – wrzasnął z paniką Amitiel. – Odstaw...!

Rashka usadził go na ziemi. Ciałem elfa wstrząsnęły torsje. Odwrócił się i zaczął wymiotować.

– Elfik źle się czuje? – Zmartwił się Stwór. – Rashka wymieni też żołądek.

– Nie... Nie! – Amitiel opanował się trochę i prędko odsunął od istoty. – Nie dotykaj mnie! O bogowie... Trzymasz mnie dla niego! – wykrzyknął z przerażeniem.

– Rashka nie rozumie.

– Dlatego mnie tu sprowadziłeś! Żeby on miał na czym eksperymentować! Żeby zrobił ze mnie to samo co z ciebie!

– Elfik mówi bez sensu. Z Elfikiem nie jest dobrze.

– Błagam cię... – Amitiel rozplakał się, patrząc na istotę. – Błagam, pozwól mi wrócić do domu.

– Rashka nie może – powtórzył cierpliwie potwór. – Nie wie jak. Ale Rashka sprawi, że Elfik będzie szczęśliwy. Wymieni mu jeszcze kilka części, a wtedy Elfik powinien działać, jak należy.

– Nie... Nie, nie, nie! – zawołał rozpaczliwie Amitiel, gdy Rashka podniósł go z ziemi. – Posłuchaj! Posłuchaj – szepnął desperacko, patrząc Stworowi w oczy. – Elfik po prostu źle się czuje, rozumiesz? Musi się położyć. Chwilę odpocząć. To wszystko – przekonywał, a Rashka pokiwał głową ze zrozumieniem.

Zaniósł go do łóżka. Spiczaste palce przemknęły po długich włosach Amitiela.

– Elfik jest taki ładny – stwierdził z podziwem Stwór, podczas gdy Amitiel z trudem powstrzymywał się od płaczu. – Rashka żałuje, że Mistrz nie stworzył go równie pięknym, ale cieszy się, że może patrzeć.

Amitiel przymknął powieki, czując zbierające się pod nimi łzy.

Był w piekle.



Obserwował, jak z ziemi, milimetr po milimetrze, wyłania się roślina. Dawno już nie wykorzystywał magii w ten sposób. Eksperymentował z podobnymi rzeczami, gdy

był dzieckiem, lecz nigdy nie przypuszczał, że podobne zdolności kiedykolwiek okażą się przydatne.

Gruba łądyga rozrastała się i pokrywała liśćmi, pomiędzy którymi zaczęły w końcu pokazywać się niewielkie, czerwone owoce. Dłonie Amitiela, którymi otoczył swe dzieło, chcąc jak najlepiej kontrolować moc, drżały gwałtownie. Był słaby. Zbyt słaby na takie sztuczki, a jednak nie miał wyboru.

Skupił wzrok na dwóch sinych palcach. Czy ojciec przyjmie go *takim*? Czy widok syna nie wywoła w nim obrzydzenia?

– Elfiku!

Aż podskoczył, gdy usłyszał głos Stwora. Nie słyszał, jak ten nadchodzi.

– Elfiku! – Rashka klasnął w dłonie, przyglądając się roślinie. – Jak wspaniale!

Amitiel zerknął ukradkiem na istotę. Doszedł do wniosku, że było w niej coś... niewinnego, choć używanie podobnego określenia w zestawieniu z czymś tak plugawym, wydawało się dalece niestosowne. Innego jednak nie znajdował. Rashka był skłonny do okrutnych czynów, a jednak zdawał się nie pojmować ich wagi i znaczenia. Cóż, o ile nie udawał. Amitiel od dziecka słuchał o tym, by nie wierzyć naiwnie nikomu i niczemu. By zawsze kwestionować intencje i motywy.

Teraz nie miał na to siły.

Gdy skończył, wstał i oparł się o ścianę budynku. Był tak słaby, że z każdym mrugnięciem coraz trudniej było mu się zmusić do otwarcia oczu.

– Nigdy więcej nie nakarmisz mnie ludzkim mięsem – rzekł ochryple. – Sam też nie będziesz go jadł. Tak roślina zaspokoi nasz głód.

– Głód? – powtórzył Stwór. – Rashka nie czuje głodu. Nie musi jeść. Ale lubi mięso – dodał, uśmiechając się makabrycznie.

– Polubisz też to – uciął cicho Amitiel.

Rashka nachylił się i zerwał z krzaka jeden z owoców. Oglądał go przez moment, wyraźnie zafascynowany, nim przekazał Amitielowi.

– Elfik czaruje – szepnął z ekscytacją. – Rashka uwielbia magię.

– Magia nie jest czymś, co powinno się uwielbiać. To wielkie zobowiązanie. Broń, którą należy dzierżyć z najwyższą ostrożnością, by nie wyrządzić krzywdy sobie i innym. – Amitiel powtarzał to, czego go uczono, choć jego głos był odległy i pełen

znużenia. Zaraz jednak skupił wzrok na twarzy istoty i powiedział stanowczo – Ustalmy jeszcze parę zasad.

– Zasad? – zainteresował się Rashka.

– Po pierwsze, żadnego usypiania – stwierdził kategorycznie Amitiel, dostając dreszczy na wspomnienie, jak Stwór go podduszał. – Po drugie, nigdy więcej nic mi nie wytniesz, ani nie zamienisz. – Rashka przechylił głowę, przypatrując mu się uważnie. – I wreszcie, będziesz traktował mnie dobrze, a ja będę traktował dobrze ciebie. Zostanę twoim... przyjacielem – dokończył elf, choć ostatnie słowo z trudem przeszło mu przez gardło. Zamierzał jednak wyjść z tego więzienia żywym, a by to zrobić, musiał znaleźć sposób na opanowanie tego potwora.

– Przyjacielem? – Zdziwił się Stwór. – Rashka nigdy nie miał przyjaciela. Miał tylko Mistrza. Przyjaciel jest równie dobry?

– Lepszy – odparł cicho Amitiel.

– To niemożliwe. Nikt nie może być lepszy od Mistrza.

Amitiel osunął się na ziemię i wziął głębszy oddech, wkładając wiele wysiłku w to, by pozostać przytomnym.

– Jak nazywa się twój Mistrz? – zapytał. Nie słyszał wiele o lokalnych czarnoksiężnikach, lecz kilka imion tych grasujących po kontynencie błąkało mu się w głowie przez opowieści ojca. Ktoś, kto tworzył takie plugastwa, musiał mieć potężną moc, zatem nie było wykluczone, że już kiedyś o nim słyszał.

– Mistrz jest Mistrzem, Elfiku – odrzekł jednak mało pomocnie Rashka.

– Kiedy odszedł?

– Dawno temu.

– Przed miesiącem? Rokiem? – Stwór przekręcił głowę, nie odpowiadając. – Paroma latami?

– Hm... Rashka się zastanawia, Elfiku.

– Dłużej? – rzucił ze zdumieniem Amitiel.

– Tak... Tak Rashka myśli – potwierdził zadumany Stwór.

– Więc skąd pomysł, że w ogóle wróci?

– Musi wrócić, Elfiku. Obiecał. Obiecał, że nie zostawi Rashki. Rashka jest jego ulubieńcem.

Przez moment Amitielowi zrobiło się żal tej kreatury. Nie była wszak winna własnego istnienia, została stworzona, powołana do życia przez człowieka, który zamiast wziąć odpowiedzialność za swe dzieło, porzucił je tu, odizolowane od świata i skazane na bezsensowny byt.

Może niepotrzebnie się niepokoił? Może czarnoksiężnik wcale nie zamierzał wrócić? A może i zamierzał, kiedyś, nim zginął z ręki Łowcy czy innego, zawistnego maga. Tak czy inaczej, musiał wydostać się stąd jak najszybciej. Nie mógł ryzykować starcia z takim potworem, dobrze wiedział, że nie dałby sobie rady.

– Czy twój Mistrz tworzył inne istoty podobne tobie? – zapytał nagle Amitiel, gdy naszło go wyobrażenie, że na tej niewielkiej przestrzeni mogło pomieszkiwać coś jeszcze straszniejszego od Rashki.

– Tak – potwierdził Stwór. – Rashka pamięta innych.

– Gdzie teraz są?

– Nie wszystkie stworzenia zadowalały Mistrza. Nie wszystkie udały się tak, jak Rashka. Rashka miał wielkie szczęście. Mistrz stworzył go po wielu próbach z najlepszych części. Stworzył najpiękniejszego, jak tylko mógł.

Wzrok Amitiela prześlizgnął się po groteskowej sylwetce. Nie dostrzegłszy ani krztyny rzekomego piękna, elf zapytał:

– Skąd wziął te „najlepsze części”?

– Z ludzi i elfów.

– Martwych ludzi i elfów – szepnął ze zgrozą Amitiel.

– Nie. Niektórzy byli żywi – zapewnił gorliwie Stwór, jak gdyby to poprawiało sytuację. Amitiel spojrział na niego z przerażeniem. – Mistrz mówił, że takie części trzymają się najlepiej. Może dlatego twoje wyglądają tak dziwnie. Gdyby Rashka mógł, pokroiłby kogoś żywego, ale żywy był tylko Elfik, więc nie dało rady. Rashka przeprasza.

Amitiel był głęboko wstrząśnięty tym wyznaniem.

– Nie masz za co przepraszać – wymamrotał, wstając.

– Rashka wie, że Elfik nie jest tu szczęśliwy, ale to dobre miejsce. Będzie dobrze, Rashka obiecuje – stwierdziła z szerokim uśmiechem istota. – Elfikowi nie stanie się krzywda.

– Prawie mnie udusiłeś – przypomniał ponuro Amitiel, wspominając *pomoc* Rashki w zasypianiu.

– Kiedy, Elfiku? – Stwór był zaskoczony.

Amitiel darował sobie wyjaśnienia i wrócił do chaty.

Musiał zastanowić się, co dalej.



Stał przy oknie i patrzył na niezmieniającą się przestrzeń, myśląc, czy nadejdzie ratunek. Nie miał pojęcia, jak opuścić to miejsce. Próbował różnych rozwiązań, ale jego moc była za słaba, a magia, która stworzyła ten piekielny azyl, zbyt obca. Wciąż miał nadzieję, że ocali go ojciec. Przecież musiał istnieć jakiś sposób. Wyczulony mag lub Łowca Czarnoksiężników, który znalazłby się w tej okolicy, spostrzegłby, że coś jest nie tak i może zdołał przełamać barierę. Ojciec na pewno udał się do kogoś takiego. Nie spocznie wszak, póki nie ustali, co stało się z jego jedynym synem. Amitiel w to wierzył.

Nie miał innego wyboru, w przeciwnym razie postradałby rozum.

I nagle w zasięgu jego wzroku pojawił się Rashka. Upiorny, przerażająco nieświadomy otaczającej go rzeczywistości Rashka, który właśnie ciągnął za sobą jakieś pokiereszowane ciało.

Amitiel zamarł, zaszokowany i złknięty tym widokiem, ale zaraz nabrał odwagi, po czym wybiegł na zewnątrz.

– Rashka! – zawołał, a istota, która zmierzała w stronę wjazdu, przystanęła. – Czyje to ciało? – zapytał ostro.

– Człowieka – odpowiedział Stwór.

– Jakiego człowieka? – rzucił nerwowo Amitiel.

– Rashka nie wie. Rashka takiego znalazł.

Amitiel odetchnął płytko. Potrzebował chwili, by przełamać opory, a ledwie to uczynił, nachylił się nad trupem i przyjrzał mu bliżej.

– Krew jeszcze nie zastygła – szepnął, oglądając świeże rany. – Zginął chwilę temu. Dlaczego kłamiesz? – syknął napastliwie, podnosząc wzrok na Rashkę. Tak sądził, że ten Stwór coś ukrywa. Przecież Amitiel nie mógł się tu pojawić ot tak!

– Rashka nie kłamie – zaproponowało stworzenie.

– Zabiłeś go. Dlaczego?

– Rashka nie zabił. Rashka nie kłamie – powtórzył Stwór, tym razem bardziej stanowczo, głosem zdradzającym irytację.

– Powiedziałeś, że nikt prócz twojego Mistrza nie może tu wejść ani stąd wyjść, więc jak w takim miejscu pojawił się nieboszczyk? – zapytał chłodno Amitiel, prostując się. – I to taki, który niedawno zginął?

– Rashka nie wie.

Amitiel zmrużył oczy. Może mistycyzm tego upiornego więzienia przyćmił na moment jego rozsądek, ale teraz widział wyraźnie – Rashka był jego kluczem do wolności. Dlatego, że to właśnie Rashka go tu ściągnął. Nie istniało inne wytłumaczenie. Nie mogło istnieć.

– W jaki sposób wychodzisz? – zapytał.

– Rashka nie wychodzi. Nie może.

– Możesz i robisz to – warknął nerwowo Amitiel, nie panując nad emocjami. – Tak ich tu sprowadzasz, zapewne do jego eksperymentów. Założę się, że dlatego cię stworzył. Powiedz mi, jaką metodą opuszczasz to miejsce – naciskał.

– Rashka nie opuszcza. – Stwór sprawiał wrażenie zdezorientowanego. – Rashka tylko sprząta, gdy się pojawiają.

– Co? Ciała zmarłych? – zakpił Amitiel.

– Tak.

Amitiel stanął przed kreaturą.

– Dlaczego zabijasz ich, a nie zabiłeś mnie? – zapytał wyzywająco.

– Rashka nikogo nie zabija. Oni już są martwi. Elfik nie był.

– Zachowujesz mnie dla niego? – rzucił Amitiel, jakby nie słyszał słów Stwora.

– To kazał ci robić z elfami? Eksperymenty na nich sprawiają mu większą przyjemność?

– dopytał gorzko, patrząc na spiczaste uszy Rashki.

– Rashka znajduje czasem też elfy – odparła jednak istota. – Martwe. Bardzo martwe. Elfik był trochę żywy, dlatego Rashka pomógł. Im już nie pomoże.

– Kłamiesz – wycedził przez zęby Amitiel, ale wiedząc, że nie uzyska konkretniejszej odpowiedzi, wrócił do chaty.

Przez pierwsze kilka chwil był wściekły. Uległ wrażeniu, że dał się oszukać. Że naiwność Rashki była ledwie przykrywką dla prawdziwej natury tej szkarady, która zapewne zabawiała się z nim, kłamiąc, grając i manipulując. Może chciała zdobyć jego zaufanie. Może jej Mistrz lubił takie zabawy. Może ofiary, które zaczynały czuć się bezpiecznie w stworzonym przez niego piekle, wydawały mu się śmieszne. Amitiel na pewno nie zamierzał być jedną z nich!

Im bardziej się jednak uspokajał i im dłużej myślał, tym zyskiwał przekonanie, że sytuacja nie jest taka prosta. Rashka nie sprawiał wrażenia sadystycznego potwora i Amitielowi trudno było sobie wyobrazić, by ktoś tak dobrze udawał. Może biedny Stwór nie miał pojęcia, co robi. Tak. To wiele by wyjaśniało. Jego Mistrz omotał go czarami. Namieszał mu w głowie, by Rashka nie był świadomy, że opuszcza to miejsce, by żył w przekonaniu, że jest jego więźniem. Zapewne nie zdawał sobie też sprawy z własnych czynów. Z tego, że krzywdzi ludzi i elfy oraz ściąga ich tutaj. Może dlatego Amitielowi udało się ujść z życiem? Bo padł ofiarą nie Rashki, lecz wilka, więc Rashka, nie mogąc zastosować się do poleceń Mistrza, sprowadził go tu i *naprawił*, uznając to za właściwe?

Na ten moment nie dysponował lepszym wyjaśnieniem, tyle że naprawdę nie słyszał o żadnych masowych zniknięciach, a gdy ostatni raz zaglądał do piwnicy, ciał było tam bez liku.

W końcu Rashka pojawił się w domu.

– Elfik jest zły – powiedział.

– Tak, Rashka, jestem zły – potwierdził chłodno Amitiel, bo sądził, że to wywrze na Stworze jakieś wrażenie i może skłoni go do powiedzenia czegoś więcej niż dotąd.

Dłoń Rashki spoczęła na jego ramieniu. Amitiel wzdrygnął się odruchowo, po czym odwrócił w stronę kreatury, posyłając jej niespokojne spojrzenie. Jakie było zdziwienie elfa, gdy Rashka nagle wręczył mu długi kij.

– Co to? – zapytał bez zrozumienia.

– Elfik ukarze – zasugerował Rashka, cofając o parę kroków. – Poczuj się lepiej.

– O czym ty mówisz? Ukarze kogo?

– Rashkę. – Istota klęknęła. – Mistrz tak robił i zawsze poprawiał mu się nastrój.

Niech Elfik spróbuje.

– Oszalałeś? – szepnął z przerażeniem Amitiel, choć zadawanie tego pytania miało się z celem. To stworzenie nie miało zdrowego umysłu.

– Nie podoba ci się, Elfiku? – Rashka sprawiał wrażenie zmartwionego. – Możesz też odciąć Rashce rękę. Rashka znajdzie sobie nową. Możesz zrobić co tylko zechcesz. Rashka będzie posłuszny.

– Nie wyrządę ci krzywdy! – wykrzyknął z oburzeniem Amitiel, rzucając kij na podłogę.

– To nie krzywda – zaoponował irracjonalnie Stwór. – Mistrz tak robił.

– Ale ja nie jestem Mistrzem, tylko przyjacielem. Zapomniałeś?

Istota nie odzywała się przez dłuższą chwilę, jakby nad czymś myślała, po czym pokręciła głową i rzuciła nagle:

– Rashka woli Mistrza. Mistrz nagradzał i karał, a Przyjaciel tylko powtarza, że Rashka kłamie i przez to się złości. Rashka nie chce Przyjaciela. Ukarz Rashkę, Elfiku.

– Nie zrobię tego! – odparł twardo Amitiel, po czym zbliżył się do Stwora i ujął jego twarz w dłonie. Spojrzał wprost w jego czarne, przepelnione wyczekiwaniem oczy.

– Nigdy nie podniosę na ciebie ręki, rozumiesz? Nie wyrządę ci krzywdy, chyba że ty spróbujesz wyrządzić ją mnie.

– Rashka by nie skrzywdził – oznajmił Stwór.

Chyba, że nieświadomie, dopowiedział w myślach Amitiel.

– Więc wiesz już, że i ja tego nie zrobię – powiedział, zabierając ręce. – Nie jestem już zły – dodał łagodniej. – Nie musisz się martwić.

Wtedy Rashka objął go gwałtownie i wtulił twarz w jego brzuch, uśmiechając się w ten swój charakterystyczny, niepokojący sposób. Amitiel posłał istocie niepewne spojrzenie. Po chwili wahania, pogłaskał ją po głowie. Wydawała się zachwycona.

Rashka... Rashka był jak zwierzę. Lojalne, lecz groźne zwierzę, które nauczono mówić, ale które wciąż nie zdawało się pojmować ani własnej natury, ani cudzej.

Amitiel miał nadzieję, że ratunek nadejdzie prędko.

By ktoś ukrócił wreszcie cierpienia tej kreatury.



Mijały kolejne dni, szare, ponure i ciągnące się w nieskończoność. Nadzieja Amitiela przygasła. Myśl, która jeszcze do niedawna podtrzymywała go na duchu, myśl, że ojciec nie spocznie, póki go nie odnajdzie, zaczęła wydawać się coraz mniej przekonująca. Owszem, ojciec będzie go szukał, lecz nie zdoła wykryć tego miejsca. A inni? Amitiel zniknął tuż po tym, jak usłyszał, że zostanie sam, bez domu i jedynej osoby, na której mu zależało. Opowiadał dwójce dzieci o małżeństwie, którego nie pragnął, a później wymknął się w nocy, nie mówiąc nikomu ani słowa. To wyglądało na ucieczkę. Ucieczkę zrozpaczonego, zagubionego, młodego elfa, który nie potrafił stanąć twarzą w twarz z nową rzeczywistością.

Zapewne pozostali mieszkańcy i wszyscy ci, do których ojciec zwróci się o pomoc, dojdą do takiego wniosku. Może z uprzejmości przeczeszą część lasu. Może odkryją przy pomniku Malediry ślady krwi i uznają, że naiwnego młodzika czekał straszny los, a jego ciało rozszarpały drapieżniki. Nikt go nie znajdzie.

Nikt nie przyjdzie.

Amitiel opuścił chatę, czując przytłaczające go poczucie beznadziei. Zastał Rashkę przy roślinie. Stwór siedział obok niej, okrakiem, z ugiętymi pod dziwnym kątem nogami, i oskubywał zeschnięte liście. Magia Amitiela nie była dość silna. Roślina co jakiś czas zaczynała obumierać i trzeba było oderwać szare, cienkie jak papier elementy, by reszta całkowicie nie zgniła. Rashka przejął to zadanie.

– Szybko się uczysz – ocenił cicho Amitiel, obserwując poczynania istoty.

– To zasługa Mistrza – odpowiedział Rashka, uśmiechając się szeroko.

Amitiel poczuł ogarniającą go irytację.

– Nie wszystko jest zasługą twojego Mistrza, Rashka – oznajmił szorstko.

– Wszystko jest, Elfiku. Mistrz stworzył Rashkę.

– A nas stworzyli bogowie, jednak nie dziękuję się im za każdym razem, gdy ktoś odkryje w sobie jakąś zdolność. Gdy dziecko nauczy się czytać, chwali się je, a nie krzyczy pod niebiosa: *Chwała Solemowi!*

Rashka spojrział na elfa. Przechylił głowę, sprawiając wrażenie zaciekawionego.

– *Solemowi?* – powtórzył, mrugając. – Co to takiego?

– Solem – powiedział Amitiel, wydawszy z siebie odruchowe, pełne niedowierzania parsknięcie. Kiedy jednak istota wciąż wpatrywała się w niego z

wyczekiwaniem, jakby miała nadzieję na wyjaśnienia, dotarło do niego, że Rashka naprawdę nie miał pojęcia. W Maeves wiedział każdy. Dzieci od najmłodszych lat uczono o micie powstania. Nawet ci, którzy nie czcili Solema, wiedzieli, kim jest. – To bóg, który stworzył ten świat. Stworzył elfy.

– Stworzył Mistrza? – zainteresował się Rashka.

– Nie – odparł twardo Amitiel. – Twojego Mistrza stworzył ktoś inny. Zazdrosna bogini, która chciała dorównać dziełowi Solema.

Spojrzenie Rashki zdradzało, że niewiele z tego wszystkiego rozumiał.

– Więc nie przypisuj swojemu Mistrzowi wszystkich zasług – podsumował stanowczo Amitiel. – Nie jest tego wart.

– Mistrz nie byłby zadowolony. Mistrz chciał, żeby Rashka myślał tylko o nim.

– Twój Mistrz... – Amitiel chciał powiedzieć coś dobitnego, ale po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że Rashka mógłby to źle odebrać. Nadal nie wiedział wiele o tym stworzeniu. Nadal bał się drzemiących w nim instynktów. – nie był dobrą istotą – dokończył więc ostrożnie.

– A Rashka? – zapytał Stwór. – Rashka jest dobry?

– Chyba tak. Nie znam cię na tyle, by stwierdzić – rzekł Amitiel i wzdrygnął się, przypominając sobie tamto pokiereszowane ciało.

– Rashka jest chyba dobry. – Stwór klasnął w dłonie i zaśmiał się głośno. – Rashka się cieszy.

Amitiel uśmiechnął się słabo. Pozostawił Rashkę samemu sobie i ruszył w głąb lasu. Szedł prosto przed siebie, aż wreszcie dotarł do bariery. Przychodził tu codziennie, czasami nawet po parę razy, jakby liczył, że nagle coś przyjdzie mu do głowy, że znajdzie sposób, by opuścić to piekło.

Także ta nadzieja stawała się coraz węższa.

Położył dłoń na fioletowej powierzchni i przymknął powieki. Plugawa moc, drzemiąca w tej tętniącej magią ścianie, przeszła go na wskroś, niemal skręcając jego wnętrzności. Przez moment czuł, jak zbiera mu się na wymioty, lecz zdołał się powstrzymać i choć jego dłoń drżała, wciąż dotykał bariery, licząc, że w ten sposób uzyska jakieś odpowiedzi.

Nie uzyskał jednak nic.

Podniósł głowę i spojrzał w niebo, czując napływające do oczu łzy. Trwał tak przez moment, pełen żalu i frustracji, po czym odwrócił się, by odejść. Wtedy spostrzegł jednak coś, co wstrząsnęło nim do głębi.

Ciała. Dziesiątki ciał. Ziemia usłana była zwłokami kobiet, mężczyzn i dzieci. Znajdowały się tuż obok, ułożone jedno obok drugiego, jak gdyby ktoś rozłożył je tu niecznie, gdy Amitiel nie patrzył. To nie było jednak możliwe. Więc jak? Jak...?

Zrobiło mu się słabo. Chyba stracił przytomność, bo ocknął się w chacie, nie pamiętając niczego, co zdarzyło się po tamtym momencie.

– Masz szczęście, Elfiku – rzucił czuwający przy nim Rashka. – Mało brakowało, a Rashka nie zdołałby odróżnić cię od pozostałych. Tam na dole nie jest zbyt przyjemnie. Znowu byś się złościł.

– Bogowie... – Amitiel podniósł się do siadu, drżąc. – Te zwłoki... pojawiły się znikąd! W przeciągu chwili!

– Rashka mówił, że nie kłamie.

– Jak to możliwe?!

– Rashka nie wie. Rashka tylko sprząta.

Amitiel pograżył się w zadumie. Może ludzie, którzy tu wkraczali, umierali? I tylko on przeżył, bo chroniła go magia? Niemożliwe... Tak wielu ludzi, znikających w tym samym punkcie, wzbudziłoby zainteresowanie. Więc co jeszcze pozostawało? Te ciała... Wyglądały na świeże. Może Mistrz Rashki znalazł sposób, by ściągać tu martwych z okolicy, a następnie przeprowadzać na nich eksperymenty? Może dlatego znalazł się tu Amitiel, bo był na skraju śmierci, lecz dzięki pomocy Rashki, udało mu się przeżyć? Nie mógł sobie wyobrazić, jak potężną mocą musiałby dysponować Mistrz, by uzyskać taki efekt. Choć, prawdę mówiąc, niewiele wiedział o plugawej magii.

– Rashka będzie musiał coś z nimi zrobić, teraz, gdy Elfik zabronił jeść mięsa – zauważył Stwór. – Na dole zrobiło się tłoczno.

– Zakop je – polecił cicho Amitiel, wciąż wstrząśnięty tym, czego doświadczył.

– Mistrz byłby niezadowolony. Taka strata dobrego ciała...

– Rashka. – Amitiel posłał istocie surowe spojrzenie. – Zakop je.

Usta Stwora ułożyły się w szerokim, makabrycznym uśmiechu.

– Elfik rozkazuje, jak Mistrz – stwierdził uradowany. – Rashka się cieszy.

Gdy istota wyszła na zewnątrz, Amitiel przymknął powieki, po czym skrył twarz w dłoniach. Nie chciał być taki, jak Mistrz. W ogóle nie chciał tu być. Naprawdę miał spędzić całą wieczność u boku tej kreatury?

Kiedy Amitiel opuścił budynek, przed chatą była już istna sterta ciał.

– To wszystkie? – zapytał cicho elf, kiedy Rashka dotarł do stosu kolejnego ciała.

– Tak – potwierdził gorliwie Stwór.

– Odsuń się – poprosił cicho Amitiel.

Rashka wykonał jego polecenie. Amitiel zebrał w sobie wszystkie siły, po czym wzniecił płomiennie, które w przeciągu chwili objęły w swym szkarłatnym uścisku wszystkie ciała. Rashka sprawiał wrażenie zachwyconego. Patrzył na Amitiela zza ściany ognia, uśmiechając się szeroko. Jego czarne oczy przeszywały elfa na wskroś.

Amitiel czuł, że ten widok będzie powracał do niego w koszmarach.